

ru D Z I A D E K

ty. Drugi Matki zawsze mają rację. Moja nie była wyjątkiem. Jak powiedziała ojcu żeby mnie nie zabierał, bo tylko wstydu narobię, to wiedziała co mówi. Ale ojciec uparł się i pojechaliśmy. Najpierw tramwajem na Pragę, a później pociągiem. Robiło się już ciepło. Słońce rzucało pożłocane plamy na topniejące płaty śniegu pomiędzy drzewami. Siedząc, naturalnie przy oknie, wciągałem pełne płuca rześkiego powietrza nasyconego zapachem rozoranej ziemi. Słowem wiosna. Dworek był nieduży i dość tłoczno wewnątrz. Same mundury. Ojciec witał się ze znajomymi a ja przestępowałem z nogi na nogę. Bo to nigdy nie wiadomo co z sobą zrobić. Jak się ma pięć lat, wtedy brak otzaskania towarzyskiego może być bardzo kłopotliwy. Niby mówiła mama:

— Do starszych ręki pierwszy nie wyciągaj, przyzwicie się ukłoń i bez pytania nie odzywaj się.

No, jeszcze jak się miało do czynienia z jednym starszym naraz, to jako tako poszło. Skłoniło się głową, szurnęło nóżką, i najwyżej bąknęło swoje imię pod nosem. I po całym rytuale. Popatrzył sobie pięcioletni człowiek w górę na starszego czy już po wszystkim, czy można odejść i znowu nie uważać. Dużo się tam nie widziało. Mniej lub więcej wystające brzuszyśko, włochate dziurki w nosie. Zwykle w takich wypadkach zahuczczają ze szczytu starszego: „Popatrz, popatrz jakiego to się dużego chłopaka dochowałeś!”. Nie wiem dlaczego starsi dziwili się zawsze mojemu wzrostowi. Jakby to rzeczywistość było taką nadzwyczajnością. Ostatecznie wszyscy którzy byli ojcami mieli dzieci. A między dziećmi duży odsetek chłopców. A chłopcy rośli. Więc czemu się tak zawsze dziwili? I śledził Widocznie taki już, ich, starszych, obyczaj.

Tym razem tak dużo było starszych, że nikt na mnie nie zwrócił uwagi. Aż się przestraszyłem. Może teraz niezbyt urosem. Pewnie moja wina że się nikt mną nie dziwi. Przynajmniej wszyscy byli w mundurach. Bo z cywilami to zawsze kłopot. Nigdy nie wiadomo jak kogo tytułować. Czy „pan dyrektor”, czy „pan prezes”, czy może zwykły „pan”? A w mundurze to zaraz wiadomo. Ojciec chodził zawsze w mundurze. Ordynansi też. Tylko ojciec miał grubszego węża na kołnierzu. No i gwiazdki na ramieniu. W ogóle to wystarczało do trzech umieć zliczyć i już człowiek wiedział z kim ma przyjemność. Bo gwiazdek mogło być najwyżej trzy a pasków dwa. I starczyło tych rachunków na całego, zył pełnego pułkownika. Na mój wiek taka znajomość szarzy wystarczała. Raptiem zrobił się szum i szuranie nogami. Wszyscy ustawili się szpalerem wzdłuż ścian korytarza. Ja znalazłem się przed ojcem. W głębi sieni ukazał się wojskowy ale w innym mundurze. Takim szaro-błękitnym. Bez gwiazdek, pasków, wężyców lub orderów. Tylko na lewej, górnej kieszeni świeciła się oznaka jakby w kształcie parasola otwartego. Wyżej, nad tą oznaką, wąsy sumiaste. Takie jak tylko na starych

tanta. Nim się zorientowałem, już płynąłem na kapitańskiej piersi, zaplątany w srebrnych sznurach, w głab oficerskiego dwurzędu.

Jakoś inaczej wyglądały te srogie oblicza wystające z wysokich kołnierzy zdobnych w grube węże na kolorowych tłach, widziane z bliska. Nie z dołu, ponad wielobarwną tęczą orderów ale tak bezpośrednio na tej samej co moja twarz wysokości. W końcu postawiono mnie na podłodze w pokoju dzieciennym. Przedstawiono mię dwu dziewczynkom. Bąknąłem coś pod nosem, szurnąłem nóżką i... kątem oka spostrzegłem cudo. Ogromny dom dla lalek. Po chwili byłem w środku. Prawie ale nie całkiem. Białe ściany domku, pod czerwonym dachem trzeszczeć zaczęły. Ani w przód ani w tył. Próbuje naprzód, biodra utknęły w drzwiach. Próbuje do tyłu, uszy zawadzają w sieni. Spociliśmy się z wysiłku. Czerwony ze wstydu mocuje się z domkiem. Domek zaczyna jeździć ze mną szamocącym się wewnątrz po pokoju. Dobrze się namęczył sprowadzony na pomoc adiutant.

Przy podwieczorku siedziałem jak trusia. Oby się tylko przedzej skończyło! Bo przy tym trochę na siłę wyciąganiu coś w domku trzasło. Oczu się bałem od talerza podnieść. Nastąpiły w końcu pożegnania. Musiał ktoś temu szaremu panu opowiedzieć o moim popisie bo dziwnie mi się przyjrzał, głowę poczochnął i za ucho lekko pociągnął. Ojciec też na mnie całą drogę powrotną spoglądał. Ale mnie już było wszystko jedno bo mi się spać zachciało jako że już było późno. W domu matka wysłuchiwała całej historii i powiedziała:

— A mówiłam ci żeby go nie zabierał bo tylko wstydu narobi.

Ojciec na to:

— Przynajmniej chłopak Dziadka zobaczył.

Zobaczył Dziadka miał jeszcze chłopak dwa razy w życiu. Nadeszła pora do szkół mię oddać. Po rozmaitych freblówkach i innych kindersztubach trafiło się do powszechniaka. Jako że ojciec był w wojsku więc naturalnie do Rodziny Wojskowej. I to nie byle gdzie ale w samym G.I.S.Z.u. A że do Belwederu było niedaleko, bo tylko przez ulicę, co prawda tak szeroką jak aleje Ujazdowskie, ale zawsze tylko przez ulicę, postanowiono dać przedstawienie na imieniny Dziadka w Belwederze. Pani rozdała rolę. Mnie udało się. Dostałem wymarzoną rolę. Bo czymże można być w teatrze nie mając talentu aktorskiego? Chyba tylko kołkiem w płocie. I właśnie taką rolę dostałem. Najważniejszą zaletą tej roli był fakt że jej nie było. Że nie trzeba się było uczyć wierszyka na pamięć. Na próbach stałem w towarzystwie innych kołków i robiłem plot. Inne, moim zdaniem, mniej szczęśliwe dzieci mężczyźni dukając wierszyki. Cała sztuczka miała przedstawiać kwiatki w ogródku przed chatką. Dlaczego kwiatki w ogóle miały się odzywać i do tego mową wiążaną, nie mogłem pojąć. Ale to już nie była moja sprawa tylko kwiatków. Najpierw to ciąga-

kwiatki miały więcej roboty ze swymi kostiumami a tu nagle jutro stanęło się dzisiaj. Zawinęli mię w mój papier, nakryli na głowę, ustawili w kącie belwederowskiego salonu i kazali być grzecznym. Jak tu można być niegrzecznym gdy się jest zapakowanym w arkusz mocnego papieru? Nogami nawet ruszać nie mogłem. A co dopiero być niegrzecznym!

W końcu jakoś nas poustawiano wszedł Dziadek. Usiadł na fotelu naprzeciwko nas otoczony rodziną i domownikami i życzyliwie się nam przyglądał. Kwiatki zaczęły się potykać na wierszykach a my staraliśmy się być dobrymi kołkami w płocie. Udało się nam znakomicie bo każdy zdreptał ze strachu w swoim papierze.

Kwiatki brnęły jakoś przez teksty wkładając więcej serdecznego zapału niż znajomości wiersza w tę sztukę. Po prostu każde z nas było stremowane tak bezpośrednim obcowaniem z wielkimi tego świata. I nagle wszystko przestało mnie obchodzić. Stałem z wytrzeszczonymi oczami i otwartą buzią pod mym papierowym strojem wgapiając się w Dziadka. Dziadek bowiem wstał, przeszedł krótką przestrzeń podłogi oddzielającej widownię od zaimprovizowanej sceny i otoczony kwiatkami dziękował im za przedstawienie. Raptiem zrobiło się jak u rodzonożego dziadka w domu. Zniknęła trema, kwiatki zapomniały nareszcie o poezji i otoczyły Dziadka rozgadany bukietem. Dziadek gładził je po głowach, chodził między nimi i rzucał to tu to tam jakieś słowa życzliwe, jakieś pytania ale tak jakoś inaczej niż inni starsi. Co prawda do mnie nie podszedł a ja nie mogłem się ruszyć spętany w papierowej tulejce. A szkoda. Tak się starałem być dobrym kołkiem w płocie. I chyba mi się udało. Tak drewnianego kołka na pewno nie było na scenie ani przedtem ani potem.

W jakiś rok później przystępowałem do pierwszej komunii. Nabożeństwo miało być w kaplicy pałacu łazienkowskiego ze względu iż jedna z córek Marszałka miała przystępować z nami. Pamiętam dobrze tę udrękę aby nie zgrzeszyć między spowiedzią a komunią. By uniknąć takiej zwanej poprawki. Czym mogłem zgrzeszyć w tym wieku to naprawdę nie wiem, ale bałem się na wszelki wypadek. Kaplica pałacyku łazienkowskiego była dość mroczna. Jedyne od strony wody blask padał przez ogromne okno witrażu. Tęczowe plamy uwyppływały piękno baroku. Lekki wiatr falował powierzchnię łazienkowskiego jeziora a odbłaski biegały do taktu wody po sklepieniach kaplicy. Serca były nam mocno trochę ze strachu a trochę ze wzruszenia wobec czegoś nieznanego co się przemyka tylko raz w życiu. Po komunii długa kolumna czarnych limuzyn, szeleszcząc po zwirowanym podjeździe pałacyku, zabrała nas na górę do Belwederu.

Godzina była jeszcze wczesna i w pałacu belwederkim panowała cisza. Będąc dopiero co po tak uroczystym przeżyciu zachowywaliśmy się raczej spokojnie. Posadzono nas dookoła ogromnego stołu. U czoła za-

...yśli, Na-
wskutek
zów, cet-
w tymże
sztuje na-
wszędzie
mitrężył
ezawodny,
wythuma-
kował.

Nadeszła kolei i na nas. Zamie-
nił parę słów z ojcem, spojrzął w
ót na mnie, uśmiechnięty poglądził
mnie po głowie i szepnął kilka
słów do postępującego za nim adiu-

ancji. Za-
jalista ni-
za restaura-
pieniądze?
e żałował
mi Daru
mę. Pozo-
i w jakim
Daru w

anie Daru
łączeniem ks.
ministra

chniewicz.

le była masa czasu. Nikomu się na-
turalnie nie śpieszyło z kostiumami.
A tu naraz zrobiło się że to już jutro.
Na szczęście mój kostium był łatwy.
Wziąć jeden arkusz papieru szarego,
do pakowania i zrobiwszy z niego
rulon spiąć wzdłuż brzegów. Z dru-
giego arkusza wyciąć koło bez trój-
kąta. Złożywszy wzdłuż brzegów bra-
kującego trójkąta spiąć. Powstaje
coś w rodzaju nakrycie głowy chiń-
skiego kullisa. Ubrany jak tytoń pa-
pierośa w bibułkę a nakryty po chin-
sku na głowę przedstawiałem sobą
dorodny kotek w płocie. Natomiast

siadł kapelan ks. Mauersberger a na
drugim końcu nasza pani. Śniadanie
minęło dalej w podniosłym nastroju.
Mnie, jak zwykle pechowo. Zgrzeszy-
łem natychmiast. Siegnąłem po kon-
fiturę porzeczkową bez pytania o poz-
wolenie. Kara też spotkała mię w
trybie doraźnym. Bez spowiedzi, po-
kuty i czekania na sąd ostateczny.
Po prostu dostałem od pani po łap-
kach. Po śniadaniu dyscyplina roz-
luźniła się trochę. Dzieci najedzone
odtężyły trochę z uroczyściego na-
stroju i stały się dziećmi z powro-
tem. Rozlecieliśmy się po pokojach
belwederskich. Na biurkach i komód-
kach stały piękne cacka. Modele sta-
roświeckich armatek i nowoczesnych
dział, wozów pancernych i czołgów.
Modele broni wszelkiej z różnych
epok.

Zaczęliśmy się tym naturalnie ba-
wić wyrывая sobie te cuda nawza-
jem z rąk. Zrobił się mały rwetes.
Zjawili się oficerowie będący tego
dnia na służbie przy Marszałku. Za-
częto nas uciszać że to jeszcze wcześ-
nie i że nie można tak hałasować. Owo
uspokajanie i próby odebrania nam
modeli w obawie przed ich popsuciem
wywołało głośne protesty z naszej
strony czyli jeszcze większy harmi-
der. W pewnym momencie zapano-
wała cisza. Jakby nożem uciął. Ofi-
cerowie skamienieli zostawiając za-
bawki w naszych rękach a my sta-
liśmy z szeroko otwartymi oczami
i w niejednym wypadku — buziami.

W otwartych drzwiach stał Dziadek.
Koszula nocna ze szlaczkiem wzdłuż
rękawów, wypuszczona luźnymi fał-
dami na mundurowe spodnie. Spodnie
spadały przydługio na buty. Z tyłu
huśtały się na dwóch guzikach szelki
w miarę kroków ku nam. W uśmiech-
niętych ustach tlił się papieros.
Wszedł między nas przesuując rękę
po napotkanych głowach i odwró-
cił się do jednego z oficerów. Coś
mu z uśmiechem cicho powiedział i
krótko się z nami pożegnawszy wy-
szedł. Oficerowie, zamiast odbierać
nam zabawki-modele, zaczęli je obja-
śniać. Zabawa z rozhukaną stała
się pouczająca i ciekawa. Podzieli-
liśmy się na grupki otaczając naszych
mimowolnych wykładawców i zadając
tysiące nie zawsze mądrych pytań.
Mnie przypadł do serca model kar-
abinu. Był około pół metra długi
i dokładny do ostatniego szczegółu.
Właśnie ta jego miniaturowa dokła-
dność czyniła go tak ludzaco prawdzi-
wym a jednocześnie mały wymiar
tak dogodnym do zabawy dla ma-
łego chłopca.

Niestety nadszedł czas rozstania się
z zabawkami i powrotu do domu.
Przyszli po nas starsi i trzeba było
się pożegnać. Wracalem do domu
smutny. Żal mi było tej zabawki.

Wiele lat minęło od tego czasu.
Los dał mi do ręki wiele karabinów.
Był Lebel długi jak srebrna rusznica
Sokolego Oka na P.W. Był Mauser
we wrześnie. Były rozmaite karabiny
i rozpylacze w lasach hrubieszowskich
i zamofskich. I znów Mauser zdoby-
ny pod Kowlem. I zrutowy Thomp-
son w powstańczej Warszawie. Był
amerykański krótki M1 w okupowa-
nych Niemczech i Enfield we Wło-
szach. Rozbroił mię dopiero sojusznik
w małej wiosce angielskiej. Ale od
czasu do czasu śni mi się, starem
bykowi, ta zabawka z Dziadkowego
Belwederu.



POLSKO-SZKOCKI HOTEL
„STRATHCONA COURT”
(właściciele C. C. Szeżlakowie)
W pokojach ciepła i zimna woda, telefon, radio.
RESTAURACJA. Przyjęcia towarzyskie i weselne do 50 osób
198 OROMWELL ROAD, LONDON, S.W.5 Tel. FRE 7878/9
Stacja kolejki: Earls Court. Autobusy: 74, 31. Trzysta metrów od
WEST LONDON AIR TERMINAL

le o ś. p. Franciszkowej Potockiej

...taj jako
orycznych
zeństw ro-
ich jest
le ku obo-
pozornie
ie innym
e się nie
plinowane
jest tym
est to ży-
nej jedno-
czków
ś w
wir zag-

...nte” daje
tóra zrazu
i obowią-
żenie ule-
n formom

...a ewolucje
ją w lipcu
gorzata z
Potocka.
żące życie,
toburczych
o rozdzia-
warunkach
łodość —
w. — w
zie ojciec
sletni pre-
Polskiego,
ch izbach
owie „ber-
zycyli swej
widzialną
lną tarczą
elnic za-
etykiety
jej rygo-
cywiliza-
z, im bar-

...szka Po-
te lat re-
zarze na
bytami w
Brackie
ch, któ-
ołudniowy

bok Rynku krakowskiego. Tam, obok
pieczołowitego czuwania nad eduka-
cją czworga dzieci, rozwijanie życia
towarzyskiego i mecenatu wszelkiego
rodzaju w tych polskich Atenach,
jakimi był ówczesny Kraków. Kroniki
jego zapisują w owym okresie od-
restaurowanie tegoż pałacyku, uwie-
czone stylowym balem w kostiumach
z epoki, tamże wskrzeszenie — przez
jej odegranie — opery „Faust”, au-
torstwa namiestnika Antoniego Ra-
dziwiłła, tam wreszcie wyrzeźbienie
przez Ludwika Pugeta obu córek do-
mu, Róży i Pelagii. Wtedy Franciszek
Potocki ogłasza w „Czasie” arty-
kuły polityczne, w czym wytrwa
i później, tak jak żona jego do ostat-
nich swych chwil w akcji dobroczyn-
nej.

Początek pierwszej wojny świato-
wej zastaje Potockich na Ukrainie,
jej koniec — w Kijowie, gdzie po
upadku caratu, w chwili ogłoszenia
wolności, przyczyniają się wielce do
założenia krótkotrwałego uniwersyte-
tu polskiego. W dwudziestoleciu osia-
dają w Rudce na Podlasiu, dobrach
po Ossolińskich, gdzie rozwijają in-
tensywną działalność ziemiańską. Pi-
szący te linie mógł niedawno stwier-
dzić na miejscu, jak wdzięczne i do-
datnie wspomnienia działalności ta
pozostawiła w „szerokim wachlarzu”
społecznym tamecznej majętności,
zresztą jako wzorowo prowadzonej
dotąd nie uległej ani parcelacji ani
uspółdzielniemu. W pobliskim Brań-
sku, gdzie wójttem wybrano młodego
wówczas Ignacego Potockiego, zapra-
wianego „od podstaw” do służby pub-
licznej, żywo wspominają jego od-
ważną osobistą interwencję, gdy w
czasie zamieszek antyżydowskich po-
śpiesznie na pomoc wezwany, tłum
uspokoił, pałkarzy rozbroił. Ducho-
wieństwo miejscowe podkreśla jakim
wzorem była obowiązkowość miesz-
kańców pałacu w wykonywaniu obo-
wiązków religijnych, wzorem, jakiego
dziś wiejskie parafie w Polsce są
pozbawione. W czwartym dziesięcio-
leciu Franciszek Potocki przyjął mi-

nisterialne stanowisko dyrektora de-
partamentu wyznań w ministerstwie
oświecenia publicznego i wyznań re-
ligijnych, wtedy gdy opracowywano
założenia współżycia różnych wyznań.
Fatalny rozwój tych spraw, m.in. re-
windykacja przez wojsko świątyni po-
nuńskich, spowodował jego dymisję.
W tym okresie pp. Potoccy zamiesz-
kiwali Warszawę, gdzie odbudowali
stary dom na Podwalu.

Nadszedł r. 1939, „walec historii”,
jak mawiał Ksawery Pruszyński, ru-
szył na Polskę. Jak przed ćwierćwie-
czem Peczare, tak obecnie trzeba by-
ło opuszczać Rudkę. Pozostała siedzi-
ba krakowska, i tam ostatnie dwa
dziesiątki lat życia pani Potocka spę-
dziła. Mieszkanie ulegało ustawowo
coraz to większemu zacieśnieniu, aż
tylko na ostatnim pięttrze udało się
zachować kilka pokoików dla domo-
wników i najcenniejszych pamiątek.
W r. 1948 umiera Franciszek Potocki,
wdowa jego pozostaje nadal ośrod-
kiem prywatnej akcji dobroczynnej,
choć coraz bardziej krępowanej, jak
i poniekąd zastępstwa tego co można
uznać za ostatni salon w Polsce, ot-
warty co poniedziałek, choć ciasny
ale odwiedzany przez miejscowych i
przyjezdnych. Jego gospodyni prezy-
duje rozmowom z kunsztem najwyż-
szym, z niezawodną uprzejmością, a
często szczyptą delikatnego „sense of
humour”. Ale przed obowiązkami to-
warzyskimi mają zawsze pierwszeń-
stwo obowiązki religijne: póki siły
starczyły, częsta msza św., codzienny
różaniec, regularne rekolekcje. Jej si-
ła była zakotwiczona w religii.

Podobno pani Potocka prowadziła
dziennik osobisty. Jeśliby kiedykol-
wiek ujrzał światło dzienne, stanie
się zwierciadłem duszy i inteligencji
niepospolitych, świadectwem uczci-
wym epoki przeobrażeń, wśród któ-
rych okazało się że charakterzy ludz-
kie mogły nie łamać się lecz harto-
wać i uświęcać, budując wielu innych.

Stefan Stablewski.

Stefan Żongolowicz.